

Czas

W filmie „Interstellar” w ścieżce dźwiękowej towarzyszącej scenie na wodnym świecie krążącym wokół masywnej czarnej dziury słychać tykanie co 1,25 sekundy, odpowiadające jednej dobie upływającej na Ziemi. Rzekomo tak w wizji twórców filmu miałyby wyglądać grawitacyjna dylatacja czasu. Choć samo zjawisko jest autentycznym fizycznym fenomenem, na potrzeby kinematografii użyto istotnej hiperboli i naciągnięto pewne prawa wszechświata. Niemniej jednak oddalając się od szczegółów tego obrazu, można dostrzec jedną, najbardziej uniwersalną z jego interpretacji – skupiając się na sprawach nieistotnych, w naszych oczach dużych czy problematycznych, może *de facto* uciec nam zasób, którego najbardziej nie da się odzyskać, a wraz z nim wszystko, co możliwe, potrzebne i prawdziwe.

Niestety, to samo tyczy się polskiej ochrony zdrowia. Wszyscy wielcy kreatorzy systemu opieki zdrowotnej mają tendencję do długiego dyskutowania i skupiania się na problemie, ile to wszystko kosztuje. Do mainstreamu przebija się ciągle narzekanie w formie: wszystko jest za drogie, pieniądze zjadają pracownicy, podmioty się jedynie zadłużają, brakuje medyków, jest fatalna organizacja na zasadzie węzła gordyjskiego. Przecież takie narzekanie prowadzi na manowce i marnuje czas, w którym można coś poprawić. Te argumenty są często same w sobie sprzeczne. Tracimy kolejne cenne chwile na debaty na temat rozwiązań, które niewiele dadzą i to tylko za kilkadziesiąt lat, ale przy okazji kosztem dewastacji jakości. Mówię tu o tzw. szkółkach medycznych, którym zależy na komercyjnym kształceniu w zasadzie wyłącznie lekarzy. Wszystkich pracowników medycznych bez wyjątku brakuje tu i teraz – lekarzy specjalistów akurat najbardziej w systemie finansowanym przez NFZ. Zatrudniać powinien sektor publiczny, a ciągle bardzo chce sektor prywatny (w większości właśnie lekarzy). Niestety, problem tego pierwszego jest tworzony przez ten drugi. Jeśli zrozumiemy, że istotą niedomogi polskiego systemu opieki zdrowotnej nie jest brak pracowników, tylko nakręcony sztucznie popyt na nich w rozrośniętym korporacyjnie sektorze prywatnym, konkurującym i żyjącym z niedostatku systemu publicznego, to będziemy w domu.

Należy uderzyć się w pierś i przyjąć za gorzki fakt, że to komercyjne eldorado inspirowało się częstymi finansowymi sukcesami prywatnych gabinetów lekarskich pierwszych dwóch dekad po transformacji. Teraz częściej widać, iż lekarze w ramach tzw. prywaty pracują dla innego komercyjnego podmiotu zjadającego istotny procent wartości ich pracy. To znamienita różnica pokazująca, kto w dzisiejszych czasach odpowiada za kształt rynku. A że pracowników brakuje właśnie korporacjom, to lobbują one za przekształceniem koniunktury edukacji na swoją modłę. No bo przecież jakby dało się wyskalować biznes

medyczny bez pracowników, to już by się taki mądry znalazł, który by to zrealizował. A jeśli wziąć pod uwagę głośną sztuczną inteligencję, to po co inwestować w rozpędzoną edukację lekarzy? Rewolucja technologiczna z wykorzystaniem AI zajmie przecież mniej czasu niż wykształcenie specjalistów – zaledwie kilka lat. Odpowiedź jest prosta – to kosztowałyby te firmy więcej, niż edukacja finansowana głównie przez... przyszłych medyków lub państwo dotujące kredyty na studia. Brzmi jak *political fiction*? Śmiem wątpić.

Te dywagacje byłyby bezcelowe bez propozycji rozwiązania problemu. Nie jestem przeciwnikiem działalności medycznej realizowanej w ramach jednoosobowych działalności gospodarczych czy spółek, ale głęboko wierzę w system partnerstwa publiczno-prywatnego, gdzie jako lekarz mający własną praktykę mogę być freelancerem – wydajnym podwykonawcą w zakresie konkretnej usługi na rzecz podmiotów finansowanych przez publicznego płatnika. Taki system jest możliwy wszędzie tam, gdzie wprowadza się koordynowaną opiekę medyczną. W Polsce modelowo to działa w POZ. Trzeba chcieć, trzeba temu sprzyjać, trzeba to promować i ułatwiać nawiązywanie takich relacji – tu problem leży akurat zwykle po stronie NFZ lub osób odpowiedzialnych za jego potwornie sformalizowane i zbiurokratyzowane funkcjonowanie...

Apeluję zatem, nie traćmy więcej czasu. Rozmawiajmy nie o tym, jak wydać pieniądze, tylko jak zmienić proste reguły gry. Jeśli tego potrzeba, może warto przywrócić stare tykające zegary w gabinetach decydentów. W końcu czas to także pieniądz, a świadomość jego upływu jest obowiązkiem, o którym nie wolno zapominać.

Pisząc to pod wpływem sierpniowej melancholii, chciałbym zwrócić się w szczególności do rozpoczynających swoją przygodę z zawodem stażystów. To Wy kończąc swoje ostatnie najdłuższe wakacje jako absolwenci wydziałów lekarskich, wchodzicie do środowiska, które bezsprzecznie tworzy system. Proszę Was, byście budowali świadomie swoją rzeczywistość pomni swoich obowiązków, ale także praw. Nie zgadzajcie się, by dyktat nad waszym losem przypadł ludziom niezanującym waszej godności lub jednostkom, czy podmiotom, które chcą owoców waszej dotychczasowej i przyszłej ciężkiej pracy, dając mało (lub co gorsza, nic) w zamian. Jako już trochę starszy kolega powiem Wam – nie warto. Życie zawodowe daje więcej możliwości, niż Wam się wydaje. Koniec jednego to początek czegoś nowego, nierzadko lepszego, a najwięcej satysfakcji przynosi ta praca, która oprócz pieniędzy daje także rzeczywistą pomoc pacjentom.

Filip Pawliczak, sekretarz ORL

Panaceum 9/2024